

Od autora: Jako, że rozdział pierwszy doczekał się pozytywnego komentarza (wreszcie ktoś przeczytał!) pozwolę sobie wstawić również i kolejny. Dziękuję bardzo za każdą chwilę poświęconą moim słowom.

Miną dni nim dowódcy dekonstruktorów podejmą decyzję w sprawie węzowego automatu, nie wiadomo nawet czy uznają go za faktyczne zagrożenie. Gdyby jednak stało się tak, jak Herbert ma nadzieję, że się stanie, upłynie przynajmniej tydzień nim zbiorą się najważniejsi dowódcy i zaczną dyskusję nad tematem, do którego właściwie nie mają punktu odniesienia. W swoich listach zawarł rozpaczliwie znikomą ilość szczegółów gdyż po pierwsze, spieszył się by powiadomić niezwłocznie o swym odkryciu, po drugie sam ma niewiele większą wiedzę niż ta, którą się podzielił. Zachodzi w głowę czy nie powinien w tym czasie podjąć własnego dochodzenia w tej sprawie.

Dlaczego właściwie już go nie zaczął? Jest to całkiem logiczne następstwo całego zdarzenia, a Pan posiada naprawdę wykwalifikowanych tropicieli i dobrze ich opłaca, w końcu polowania na pomniejsze automaty są teraz w modzie. Przeklina swoją umysłową opieszałość. Powinien wysłać ich już dawno, kto wie, może miałyby już solidne poszlaki?

Jestem zbyt mało skupiony na swoich obowiązkach ostatnimi czasy – pomyślał. Zbadanie kierunku migracji automatu to najmniejsze piwo, muszę znaleźć źródło, manufakturę w której powstał.

Pan nie odmówi jego prośbie, obecnie jest rozchwytywany na salonach, jest praktycznie centrum towarzyskim arystokracji. Ostatnio zjeżdżają się ciekawscy, kierowani przez błyskawicznie rozchodzącą się famę. Jego kiesa robi się coraz cięższa, zaczyna brakować mu miejsc, a Herbert słyszał jak niedawno wspominał o projekcie osobnego budynku mieszkalnego, czegoś na kształt olbrzymiej gospody. Jeden automat zwiększył obrót dobrami miasteczka, kolejne prawdopodobnie przekształcą je w stolicę turystyczną.

Niestety wścibska śmietanka towarzyska, wiedzioną tandetną potrzebą przeżycia ekscytującej przygody utrudnia dekonstruktorowi życie. Każdy stara się urwać choćby parę chwil z jego cennego czasu. Tak nie może dłużej być. Herbert planuje ruszyć jak najszybciej w teren, najlepiej już, w tej chwili, wziąć ze sobą to co niezbędne i paru tropicieli wiedzących jak zadbać o siebie.

Dlaczego wciąż siedzi? Ma już całkiem solidny zarys planu, nie powinien tak długo zwlekać z wciele-
niem go w życie.

Wstaje wiedziony nagłym impulsem. Kieruje się w stronę swojego kufra i uzupełnia jego braki w wyposażeniu. Ubiera wygodny strój podróżny – ciemno-burą, skórzaną kurtkę sięgającą połowy ud, grube, ciemnoszare materiałowe spodnie i wysokie, solidne buty. Sprawnie zaciąga wszelkie pasy i zapina sprzączki, wykonuje te czynności bez zastanowienia, to rutynowe zachowanie, które wpajali im przez wszystkie lata. Teraz nie może się zatrzymać.

I tak moja reputacja doznała uszczerbku przez mój brak zdecydowania – zrugął sam siebie.

Woła służącą, która w zaledwie parę chwil pojawia się u jego drzwi.

– Powiadom Pana, że potrzebuję jego uwagi, Letto – zdecydowanym tonem instruuje niską kobietę – Niech w kuchni przyszykują prowiant dla trzech osób i zapakują go najszybciej jak to możliwe.

Po ciebie przechodzi go dreszcz. Energia zbiera się i szuka ujścia. Ściąga jeszcze raz rzemienie butów, usztywniając stopy w kostkach i rusza po schodach na dół. Kufer od razu zabiera wraz z sobą.

W salonie rozbrzmiewa nienachalny gwar, ot zwykłe towarzyskie rozmowy. Pan siedzi rozparty w fotelu, tym razem jedyną biżuterią jaką ma na sobie są pierścienie. Skomplikowany kominek terkoce przyciągając uwagę zazdrosnych gości. Na taką ozdobę mało kto mógł sobie pozwolić. Służba krąży pomiędzy nimi dolewając drogich alkoholi do równie kosztownych naczyń.

Kurtuazyjne rozmowy cichną wraz z wejściem Herberta do salonu, zastępują je teraz ciche ale intensyw-

ne plotki. On sam puszcza je pomimo uszu. Podchodzi do Pana i unosi pięść w salucie.

– Herbercie? – Pan taksuje go wzrokiem. Krzywi się widząc jego ubiór.

– Panie. – Zastanawia się jak najtaktowniej zacząć rozmowę. Zdenerwowanie go przy gościach raczej nie przysłuży mu się zbyt dobrze, a ci nadstawiają konspiracyjnie uszu. Jeden z nich, okrągły i blade chłopak, wychyla się beczelnie.

– Widzę, że wybierasz się gdzieś. Nie za wcześnie na patrol? Czyżby ominęło moje uszy nowe zgłoszenie? – Dostrzega wreszcie kufer. Niemal widać na jego twarzy jak wzrasta mu ciśnienie.

– Na patrol nigdy nie jest za wcześnie, Panie. Od czasu pojawienia się ostatniego automatu panuje cisza, nie potrzeba się frasować ale ostrożnym być nie zaszkodzi. – Oddech Pana wyrównuje się wyraźnie, wciąż jednak wierci go swym wzrokiem.

– Po cóż ci zatem ten kufer? Nie przypominam sobie do tego byś przed każdym wyjazdem się zapowiadał. – Unosi się na łokciach w fotelu, skóra skrzypi pod jego ciężarem przeraźliwie. Oparcia dostosowują się do nowej pozycji, nawet meble tutaj mają proste mechanizmy.

– Chciałbym udać się na daleki zwiad. Zbadać skąd wziął się nasz automat, być może zlikwidować zawczasu zagrożenie, gdyby okazało się, że jest ich więcej. – Teraz już cała uwaga skupia się na nim. Nikt nawet nie próbuje ukryć zainteresowania. Damy zakrywają usta i patrzą na siebie nawzajem, jakby prowadziły konkurs na najbardziej zaskoczoną minę.

– Myśli dekonstruktor, że będzie ich więcej? – Pyta z udawanym przerażeniem jedna z nich.

– Nie martw się kochana. Sir Herbert zezłomował już jeden taki automat, mam pewność, że poradzi sobie i z innymi – uspokaja swoją partnerkę inny gość. Obejmuje ją ramieniem jakby to on miał być tym, który obroni ją przed kolejnym atakiem. Kobieta zerka kątem oka na koleżanki szukając oznak zazdrości.

– Jak daleki byłby to zwiad? – Pan ignoruje odbywający się w pomieszczeniu teatrzyk arystokratów – przelicza kolejne automaty na diamenty.

– Mam nadzieję, że dość daleki, byłbym wstrząśnięty gdyby okazało się, że źródło znajduje się w pobliżu.

Paru mężczyzn krzyczy z niedowierzaniem, jedna z pań udaje omdlenie. Dekonstruktor powstrzymuje chęć przewrócenia oczami. Przynajmniej wygląda na to, że wywarł na towarzystwie wystarczające wrażenie.

– Masz rację Herbercie, oby było jak mówisz. Widzę, że jesteś już niemal gotowy do drogi. Imponujące. Czy czegoś jeszcze ci potrzeba? – Pan stara się pokazać od swojej życzliwej strony. To dobry znak.

– Jeśli nie byłoby to problemem chciałbym prosić by towarzyszyli mi Nemo Traugutt i Ariman Om. Zauważyłem, iż zdolni z nich tropiciele i nadzwyczaj doświadczeni, a moja wyprawa wymaga profesjonalizmu. O prowiant już się zatroszczyłem, potrzeba jeszcze tylko koni dla nich. – Uspokaja się. Wszystko potoczyło się gładko. Wcześniej w głębi siebie spodziewał się wręcz gniewnej batalii.

– Oczywiście, dla tak ważnej sprawy wszystko! – Pan klaszcze w dłonie i posyła po wybranych ludzi. Herbert tłucze pięścią w pierś w podziękowaniu, powoli wycofuje się.

– Jeśli nie będzie to dla państwa ujmą, udam się już w drogę. Chcę zająć się tą materią niezwłocznie – Spogląda po twarzach, wszyscy jak jeden zapewniają, że o żadnym afroncie nie ma mowy. Pan unosi kielich w toaście:

• Pomyślnej wyprawy. Niech ci się darzy Herbercie, zdrowia tobie i twoim towarzyszom. – Cała sala wznosi kielichy i zgodnym chórem powtarzają za gospodarzem. Chwilę potem panie siadają koło siebie i patrząc za nim, żywo gestykują, panowie natomiast stają przy kominku i kiwają głowami z uznaniem. Żegnają go skinieniami.

Na szczęście nikt nie pomyślał, że zostawia ich bez obrony. Przekonał ich wszystkich, że naraża własne zdrowie i życie dla ich dobra, że bierze całe niebezpieczeństwo na siebie.

Tak też w sumie planował od początku począć, w końcu nie robi tego dla zaszczytów tylko z poczucia obowiązku. Wszelkie zdarzenia towarzyszące temu są tylko miłą wartością dodaną. Pozostali we wło-

ściach tropiciele i straż poradzą sobie znakomicie gdyby zjawił się jakiś pospolity automat.

Gdy szybkim, marszowym krokiem zachodzi do stajni, Trajan rzy w powitaniu. Koń dekonstruktora, jak on sam, zawsze przygotowany jest do podróży. Siodło zdejmuje mu się parę razy dziennie, by skóra na grzbiecie mogła odpocząć po czym zapina się je na powrót. Siedzisko jest skonstruowane w taki sposób, by jak najmniej szkodzić zwierzęciu przy długich wypadach.

Teraz pozostaje Herbertowi poczekać na towarzyszy. Służba w międzyczasie przynosi sakwy z prowiantem, na oko wystarczy go na tydzień podróży. Przytracza swoją część wraz z kufrem do Trajana. Jego potężny rumak przyzwyczajony jest do wiele większego obciążenia, niejednokrotnie dźwigał dekonstruktora w jego pełnym pancerzu.

Nemo i Ariman zjawiają się po tyknięciu, w pełni przygotowani, w końcu są profesjonalistami przyzwyczajonymi do nagłych kaprysów arystokratów.

– Panowie, nie będę owijał zegara bawełną. Mamy kurewsko ważne zadanie. – Tropiciele nie dają po sobie poznać zdenerwowania, więc kontynuuje. – Przez najbliższe dni będziemy się starali znaleźć miejsce, z którego przypelź nasz chędożony blaszak. Nie ma czasu na amatorszczyznę, jedyne co może nas zatrzymać to wzgląd na nasze własne bezpieczeństwo.

– Jasna sprawa Herbercie – potakuje śniady Ariman Om. Prostuje się jak na baczność. Po tylu latach po służbie w armii wciąż jest w wyśmienitej formie pomimo pojawiającej się siwizny, znaczącej jego wiek. Nemo zaledwie kiwa głową, nie należy do rozmownych ludzi. Został sprowadzony z nizin, gdzie od dziecka szkolił się w akademii, lecz pomimo dekonstruktorskiego rodowodu nie udało mu się przejść szkolenia. Dziś jest jednym z najlepszych tropicieli, nieznacznie gorzej opłacanym od Herberta.

*

Ślady okazują się być dość proste do odnalezienia, nawet biorąc pod uwagę kilka dni zwłoki. Pogoda na szczęście sprzyja, słońce świeci a lekki wiatr nie jest w stanie zatrzeć głębokich bruzd wyłobionych ciężkim, metalowym cielskiem. Mężczyźni podążają wytyczonym przez nie szlakiem z koni schodząc jedynie przy postoju.

– Ktokolwiek stworzył tego węża musiał być niemiłosiernie głupi – Ariman dzieli się swoją opinią – To bydlę wysiekło tak wyraźny szlak, że można by tędy wozami jeździć.

– Skoro stworzył najbardziej skomplikowany, znany nam automat? - Wtrąca złośliwie Nemo. Nie wypowiada nic więcej, spuszcza głowę i znów skupia się na śladach. Jego twarz nie wyraża emocji, nawet złośliwości wypowiada beznamiętnie.

– To że zna się na swojej robocie nie oznacza, że jest mądry. No chyba że wysiekł tę drogę specjalnie, a wąż był tylko pokrętną maszyną drogową – Om wzdyga się przez własne myśli. Nemo rzuca mu wymowne spojrzenie – przyzwyczał się do bujnej fantazji staruszka.

Herbert cieszy się wewnątrz, że nie musi podróżować sam. Lubi Arimana i jego dziwne wywody, doskonale wie, że to co mówi na głos ma za zadanie polepszyć wszystkim humor, a nie uzewnętrzniać jego poglądy.

Konie stąpają w miarę możliwości obok siebie, sekwojowy las jest raczej przestronny lecz nie pozwala na kłus, zbyt łatwo przy takiej prędkości stracić z oczu trop. Jak dotąd większość drogi pokonali zadowalająco szybko, prowadziła bowiem przez pola uprawne na południowej stronie zboczy aż na sam ich dół. Teraz musieli znacznie zwolnić.

Słońce chyli się powoli ku zachodowi, mrok w lesie gęstnieje szybciej niż w polu. Niedługo będą musieli rozbić obóz.

– Ten skurczybyk zostawił ślady nawet na korze, naprawdę Herbercie, wzięłeś ze sobą elitę tropicieli, a tutaj można zajechać nawet po zmroku – marudził Ariman Om. Najwyraźniej ma dość ciszy. Strzelił głośno stawami palców po czym wykręcił głowę i strzelił również karkiem. Śpiew ptaków stracił na intensywności, pałeczkę po nich przejmuje więc on. Starszy tropiciel zaczyna śpiewać karczemne piosenki.

– Ucihnij Om, jeszcze coś na nas sprowadzisz. Niedźwiedzie z gawry już pewno się powynosiły.

Traugutt wyraźnie lubi ciszę. Herbert nigdy nie spędzał z nimi dużo czasu, rzadko wyprawia się razem z Panem na polowania. Ma wrażenie, że mężczyźni mimo pozorów nieźle się dogadują. W końcu pracują razem od lat.

– Nemo, Nemo. Dziś nie polujemy, więc cisza nie obowiązuje. Szukamy zresztą automatów, a one słuchu nie posiadają – odpowiada i gwizdże w odpowiedzi na żale kolegi.

– Tego już nie jestem teraz taki pewny – pomrukuje tamten.

– W sumie ten nowy zachowywał się podejrzanie zwierzęco, myślicie że węże mają słuch? – pyta Dekonstruktor.

W akademii zoologia nie była ważnym elementem edukacji. Przez Nemo nabiera teraz podejrzliwości. Co jeśli szykują na siebie pułapkę takim zachowaniem? W gęstniejącym mroku szuka podejrzanych kształtów.

– Kurwa, w sumie nie wiem. Uszu nie mają ale jak zrobisz larmo to uciekają. Jak myślisz Nemo? – Ariman Om obraca się w stronę drugiego tropiciela. Usta rozszerzają mu się w uśmiechu. Wizja słyszących automatów nie robi na nim żadnego wrażenia.

– Nie są głuche skoro już pytasz. Słyszą przez drgania swojej szczęki, czy jakoś tak – wzdychając odpowiada.

– Przez szczękę? Bredzisz Traugutt, nie lubię jak się nabijasz – zaperza się Om. Nemo patrzy na niego z politowaniem, jednak Herbert wierci się w siodle z niepokojem.

– Może jednak zamkniesz jadaczkę, hm? – Postanawia się wtrącić.

– Tak na wszelki wypadek. W końcu to nie są prawdziwe węże, a ktokolwiek je robi słuch pewnie ma.

– Tylko nie mów że dekonstruktorzy tak szybko pękają – śmieje się Ariman, milknie jednak widząc pochmurne spojrzenia towarzyszy.

Przez chwilę jadą w milczeniu, popatrując we wszystkie strony. Zbocza miejscami usłane są głazami, niejednokrotnie wielkości rolniczej chałupy. Ledwo widzą kamienie pod kopytami koni, ślady praktycznie zniknęły wraz z ostatnimi promieniami słońca. Zbyt długo zwlekali z rozbiciem obozu. Nemo zatrzymuje konia i zsiada, a reszta idzie w jego ślady. Przywiązują konie do gałęzi wystających z leżącego nieopodal, powalonego drzewa i rozpinają im siodła. Stopami wyszukują najwygodniejsze miejsce u korzeni jednego z drzew, takiego, które swym pniem i korzeniami daje osłonę z dwóch stron. Z wieloletnią wprawą rozpalają ognisko staromodnym, niezawodnym krzesiwem i szykują wieczorną stawę. Na ich szczęście letnia pora rozpieszcza ciepłym i suchym wieczorem. Pierwszą wartę tej nocy obejmuje Herbert, który przygasza ognisko i utrzymuje żar tak, by jego nikły płomień nadmiernie go nie oślepił.

Noc mija spokojnie, udało im się nawet dobrze wyspać. Z pierwszymi oznakami dnia wznawiają dalsze tropienie. Przebiega ono tak samo łatwo jak dotąd, według Herberta nawet zbyt łatwo. Póki co przebyli niezbyt imponującą dla ludzi odległość, dla automatu jednak powinna ona stanowić nie lada wyzwanie. Wszystkie jak dotąd działały napędzane zwijanymi taśmami, które nakręcali ich twórcy. By przebyć taką drogę przeciętny automat musiałby być nakręcony przynajmniej dwa razy, nawet biorąc pod uwagę niepospolitość wężowej odmiany daje im to do myślenia.

Waż, sądząc po śladach nie zatrzymywał się praktycznie w ogóle, raz czy dwa znaleźli ślady jego bezsensownego polowania. Jedną z ofiar był okazały byk dwunastak, stopień jego rozkładu i konsumpcji przez ścierwojadę wskazywał, że został rozszarpany dzień przed pojawieniem się na polach uprawnych. To by znaczyło, że poruszał się mniej więcej z prędkością szybkiego, ludzkiego truchtu przez całą drogę. Wygląda to tak jakby śpieszył się na jakieś ważne spotkanie i nie chciał się spóźnić, a to implikowałoby jego celowe działanie.

Jaki cel mógłby mieć mechanizm? Żaden automat nie jest zdolny do myślenia, owady przy nich są istotami nadzwyczaj rozwiniętymi, aż tu nagle pojawia się konstrukt, który działa według tak skomplikowanego sposobu rozumowania jak gadzi. Herbertowi nie mieści się to w głowie. Ma tylko nadzieję, że dowódcy potraktują jego ostrzeżenie z pełną powagą i nie zbagatelizują zagrożeń. Z drugiej strony

dlaczego mieliby? Jego zmartwienie wydaje się być nieusprawiedliwionym, w końcu wysłał też dowód inżynierom Złomu, ci na pewno zrozumieją sytuację.

Wraz ze śladami zagłębiają się coraz bardziej w gęstniejący las. Czuć w nim atmosferę wieczności, jakby był świadkiem wielu historycznych momentów i to nie chwalebnych, bardziej tych przerażających. Ptaki nie śpiewają tutaj swoich serenad, słychać najwyżej krakanie padlinożerców. Drzewa są o wiele mniejsze i bardziej poskręcane, swymi korzeniami wbijają się we wszechobecne skaliste zbocza.

Konie mają teraz dużo trudniejsze zadanie, mężczyźni martwią się, że w którymś momencie jeden z nich może złamać nogę, a wtedy ranne zwierzę będzie trzeba dobić, a nie mogą ich przecież zostawić tutaj, na pastwę drapieżników.

Sytuacja zbyt długo była prosta, przez to skały wydają im się nagle przeszkodą nie do pokonania. Zmniejszają tempo jeszcze bardziej, ślady na kamienistym gruncie są wciąż nieźle widoczne, mniej jednak niż w miękkiej glebie. Automat na szczęście wybierał najprostszą dla siebie drogę przez co zbaczają ze szlaku ledwie parę razy.

Jadąc gęsiego wyglądają jak bohaterowie drzeworytów w dworku Pana, dobrze że nie trafili na tak lubiane przez artystów moczary. Ściany szarych skał górują nad nimi, są tak wysokie, że w ich zboczach można by wykuć co najmniej wioskę górniczą. Wkraczają w wyjątkowo ciasny wąwóz, konie z wyposażeniem ledwo mieszczą się na szerokość, ciężko sobie wyobrazić jak poruszał się wtedy pełzający automat.

Rozpadlina kończy się, po kilkuset metrach przeciskania się, czymś w rodzaju polanki. Jest na tyle przestronna, że część niej oświetlona jest niczym nierozproszonym światłem słonecznym. Nie rośnie tutaj praktycznie żadna roślinność, wszystko zostało wykoszone lub wyrwane razem z darnią.

– Wygląda na to, że zbliżamy się – mówi niemrawo Nemo – powiedziałbym, że ślad się tutaj urywa ale... No widzicie sami.

Tym razem Ariman nie ma w zanadrzu żadnego żartobliwego komentarza. Schodzą z koni jeden po drugim. Herbert sięga po topór i dokręca go z przyzwyczajenia. Rozchodzą się w różnych kierunkach i każdy na własną rękę bada podłoże.

– Eee, chłopaki? Mam wrażenie, że na tej polance wygrzewał się nie tylko nasz kolega – dekonstruktor szepcze z przestrością. Polana ma w sobie złowieszczy klimat, nie chciałby zakłócać spokoju tego co tutaj mogłoby się skryć. Zaciska dłonie w rękawicach na trzonku topora tak mocno, że skóra wydaje skrzypiący dźwięk.

– Na szczęście pozostałe ślady są dużo mniejsze, ile ich mogło tutaj urzędować? Trzy? - Ariman Om jak zwykle stara się wyszukać pozytywy. Na jego twarzy widać nawet coś na kształt drwiącego uśmiechu. – No chyba, że nasz automat z biegiem czasu urósł.

– Durnyś – wyrokuje Nemo.

– Nie podoba mi się tutaj – kontynuuje Om – niby mówiłeś, że może być ich więcej ale prawdę mówiąc nie brałem tego pod uwagę. One nigdy nie pojawiają się razem. – Niepewność zabarwia jego głos. Każdy z nich od momentu wyjścia z wąwozu wzmógł czujność lecz wydaje im się to niewystarczające. Miejsce obrazuje ich najgorsze oczekiwania.

– Mhm. – Ignorując uwagi Arimana, Herbert kuca blisko środka plany i rozgląda się uważnie wokół pod kątem. – Ślady nakładają się mocno i zacierają wzajemnie ale faktycznie wygląda jakby było ich co najwyżej trzy. Dwa z nich miały grubość ramienia, więc biorąc pod uwagę, że dużego zezłomowałem reszta nie będzie problemem. – Patrzy na dwóch tropicieli i widzi lekkie rozluźnienie na ich spiętych twarzach.

– Zauważyłem ciekawą rzecz – Nemo Traugutt drapie się po głowie. Wygląda jakby rozwiązywał wyjątkowo trudną zagadkę. Zaczyna ponownie krążyć po obrzeżach polany.

– Zacnie, a masz może zamiar podzielić się tym czy będziesz tak łąził? – Om patrzy na kolegę zakładając ręce. Przekrzywia głowę i przyjmuje pozę „tłumacz się”. Nemo przystaje i patrzy na niego przez ramię.

– Poza wąwozem ile śladów wychodzących spostrzeżliście?

Te słowa uderzają Herberta obuchem w brzuch. Nie wiedzieć czemu założył, że polana została opuszczona. Wyciąga topór przed siebie tworząc gardę. Po chwili dopiero dociera do niego, że przecież gdy sprawdzał ślady z pewnością stwierdził iż nie są zbyt świeże. Ostatnio słabo u niego z koncentracją, częściej nikt z tego powodu jeszcze nie ucierpiał.

Wiedziony pytaniem tropiciela obchodzi polanę jeszcze raz. Dlaczego sam tego nie zauważył? Rzeczywiście, jest tylko jeden szeroki ślad opuszczający polanę, żadnych mniejszych.

– Myślicie, że popełzły wszystkie w jedną stronę? Wiecie, dwa małe przodem, a duży zacierał ślady? Bo jasnym jest, że żadnego tutaj nie ma. – Siwy tropiciel opiera ręce na biodrach i spogląda w wąwóz.

– Om! Skup się! Nie ważne teraz dokąd się udały. Pomyśl lepiej skąd przyszły.

Kolejne trafne zdanie z ust Traugutta. Cholera, chyba tylko on jedyny dziś jest coś wart – myśli Herbert.

– Może przebywały tutaj na tyle długo, że wszystkie ślady zostały zatarte czasem? Pasowałoby to do stanu gruntu. Na pewno przebywały tutaj całkiem długo. – Ariman jest całkiem pewny swojej wersji.

– Musiałyby być na bieżąco nakręcane, automaty mają napęd sprężynowy. Jeśli tak było powinny być też ślady ich konserwatora. – Nie zgadza się Herbert.

– No to może nakręcały się nawzajem? – Om nie ma zamiaru dać za wygraną.

– Nie bredź. – Ponury tropiciel nie patrzy nawet w jego stronę, miast tego zaczyna ostukiwać co większe kamienie.

– Arimanie, zgadzam się z Nemo. Uciszyć się i sprawdzić sam o czym mówisz. – Dekonstruktor również stara się przywrócić kolegę do porządku.

– Widziałeś jakie spustoszenie zrobił po drodze mój automat i to na pniach drzew. Nigdzie w pobliżu nie ma podobnych śladów, a na pewno nie przebywały tutaj tak długo by te się zabiły.

– No to skąd się wzięły? – Om niemalże się obraża. – Przecież nie spadły z nieba! – Dla pewności unosi głowę i rozgląda się po koronach drzew.

Herbert i Nemo wiercą go wzrokiem. Ariman patrzy to na jednego, to na drugiego, w końcu na jego twarzy pojawia się pewna idea.

– O kurwa – to powiedziawszy, przyklęka podobnie do Traugutta i zaczyna rozgrzebywać darń pod nogami, widocznie się do tego przykładając. Zadanie jest o tyle łatwe, że ziemia została wcześniej spulchniona i odarta z roślin przez automaty.

Dekonstruktor wędruje w tę i we w tę, niechętny grzebać w ziemi. Miast tego zaczyna obchodzić każdy kamień i głaz który jest choć trochę większy niż średnica automatu, z którym walczył. Po pewnym czasie wraca do koni i sprawdza czy wszystko z nimi w porządku, te stoją jednak spokojnie skubiąc trawę rosnącą przy jednej z krawędzi polany, zaraz przy wyjściu z wąwozu.

Zbocza wzniesień są zbyt łagodne, a porastające je drzewa nie posiadają żadnych znaczeń, które sugerowałyby obecność konstruktów ale Herbert i tak postanawia je zbadać – nie ma sensu by wszyscy szukali w jednym miejscu.

Wkrótce zaczyna zmierzchać, mężczyźni szykują ognisko i posłania, rozjuczają konie i siadają wkoło. Przegrzając podróżne racje debatują:

– Bydlaki potrafią kopać, tego jestem pewny. – Ariman przegryza pasek suszonego mięsa, zamyśla się.

– Zawsze taki pewny siebie, co Om? – Młodszy tropiciel dogryza koledze. Robi łyk z bukłaka i podaje dalej. Orzechówka powoli rozluźnia towarzystwo.

– No cóż, dla mnie to raczej oczywiste, skoro zachowują się jak zwierzęta to dlaczego by nie miałyby też kopać? – Siwy weteran rozpiera się na głazie. Patrzy w ogień, na jego obliczu nigdy nie pojawia się nawet cień zawstydzenia czy zwątpienia. Człowiek beztroski można rzec.

– Och. – Z opóźnieniem nachodzi go refleksja, w końcu nie na darmo spędzili dużą część dnia na przeszukiwaniu podłoża. Alkohol zwiększa jego tolerancję na docinki i tym razem postanawia się nie odgryzać.

– Chyba do niego dotarło – zaśmiał się Nemo. Rozbawiony Herbert pociąga kolejny łyk i podaje dalej bu-

kłak.

– Nie znalazłem żadnych oznak kopania, żadnych jam, nic. – Dekonstruktor spogląda na kolegów, po ich obliczach widać, że ich poszukiwania przyniosły podobne rezultaty. Ta sytuacja sprawia, że są w kropce. Cisza przeciąga się dając wybrzmieć odgłosom nocy. Czy to naprawdę wszystko na co ich stać? Musi być jakieś oczywiste rozwiązanie, zbyt oczywiste by je dojrzeć.

Ariman stuka rytmicznie potylicą o kamień, próbuje chyba otrzeźwić trochę umysł, Nemo spogląda na płonące gałęzie i grzebie w ognisku patykiem.

Może sen pomoże? Gdy odpoczną, pomysły powinny same zacząć się nasuwać. Głupio byłoby wrócić z niczym, Pan na pewno nie przyjmie tego z aprobatą, a to oznacza krótszą dźwignię dla Herberta gdy dojdzie do kolejnych z nim sporów.

– Naprawdę musieliśmy się rozbić na środku polany? Wiem, że lepszy widok i takie tam, ale pnie drzew są dużo wygodniejsze niż te głazy – marudzi Om – Mogę chociaż jakiś przysunąć?

– Bierz co chcesz, mi tam dobrze na moim posłaniu. – Nemo kładzie się na boku w demonstracji wygody tradycyjnego śpiwora.

– A pomożesz chociaż? Mam zamiar przytargać największy pień jaki znajdę – Staruszek wstaje i wyciąga się. Patrzy z nadzieją na Nemo. Ten unosi tylko brew i nie zaszczycza go odpowiedzią.

– Sir Herbercie?

– Nie. – Dekonstruktor nawet nie patrzy na tropiciela, rozmyśla wciąż nad rozwiązaniem, które umożliwi im ukończenie zwiadu.

– Świetnie, sam sobie poradzę i to poradzę sobie znakomicie, a co – ofukuje się weteran, po czym odchodzi od ogniska.

Wiedziony nowym pomysłem, Herbert woła za nim:

– Jakbyś był tak miły poszukaj długiego na co najmniej dwa metry drąga. Ale takiego solidnego.

Na twarzy Arimana pojawia się uśmiešek, pozostali zaczynają błagać w myślach żeby tylko się nie odezwał.

– A pomożesz mi z pniakiem? – pyta.

– Nie mam zamiaru. Teraz obmyślam plan działania – odpowiada wyniośle Herbert.

– To po co ci drugi drąg jak jeden masz już w rzyci? – Dopieka tamten odbiegając i schylając się przed rzuconym przez dekonstruktora kamieniem. Znika w mroku rechocząc, choć Herbert założyłby się, że go trafił. Nemo przygląda się z uwagą.

– Po co ci ten drąg?

– Skoro uznaliśmy, że jedyną możliwością jest pojawienie się automatów spod ziemi to jutro będziemy wywracać każdy głaz po kolei. – Herbert stara się brzmieć rozsądnie, choć sam nie jest w pełni przekonany do swojego pomysłu. Z drugiej strony co im pozostało? Jeśli tak jak węzowe automaty pojawiły się również latające to są zgubieni. Nie zbadają nieba, nie są nawet w stanie bronić się przed atakami z tej strony. Szybko odpędza od siebie taki koncept.

Młodszy tropiciel w zamyśleniu kiwa głową, on jedyny nigdy nie mnoży kłopotów.

Po paru chwilach da się słyszeć ciężki dźwięk oranej ziemi. Ariman czerwony na twarzy ciągnie za sobą swoją zdobycz. Wytrzeszcza oczy z wysiłku, a na ustach maluje mu się obląkańczy uśmiech. Kładzie ogromny pień obok ogniska i kładzie się na nim wzdłuż przyciskając twarz do kory z westchnieniem. Potem daje się słyszeć już tylko chrapanie.

Z nastaniem świtu rozpoczynają prace odkrywkowe, cały zespół metodycznie odwraca każdy kamień. Zaczynają od najmniejszych, powoli zwiększając tonaż. Herbert starannie planuje każdy ruch, żebra jeszcze nie miały szans się zrosnąć, a same szwy mogą puścić i zniweczyć cały wysiłek. Zajmuje im to całe popołudnie z nawiązką. W pewnym momencie trafiają na głaz o blisko półtorametrowej średnicy lecz nie udaje im się go choćby lekko unieść. Po tyknięciu dają sobie spokój i zajmują się pozostałymi zostawiając go na później jako głównego podejrzanego. Do wieczora przewracają wszystkie poza tym jednym.

Stanęli nad nim spoceni i niesamowicie styрани. Nemo wpada na pomysł by wyciągnąć go za pomocą koni lecz i one nie dają rady. Teraz dodatkowo są zniesmaczeni tym, że nikt z nich wcześniej nie wpadł na pomysł użycia zwierząt.

– Oczywiście jest, że z tym kamieniem jest coś nie tak – Om znów wygłasza swoje mądrości – Nie patrzcie tak na mnie! Jak inaczej wytłumaczycie to, że nie da się go ruszyć?

– Może tym, że jest podłużny i większa jego część jest pod ziemią? – odpowiada Nemo Traugutt. Ariman zamyka usta z kłopotem.

Herbert bierze solidną gałąź do ręki i podkopyuje kamień, a po chwili dołączają do niego również tropiciele. Szybko okazuje się, że głaz jest zakopany głęboko, a im głębiej kopią tym większą średnicę okazuje się mieć.

– Strata czasu, nie dokopujemy się – wysapał Ariman klepiąc drugiego tropiciela w plecy. Nemo ledwo utrzymuje równowagę.

– Automaty raczej też nie wygrzebały się stąd. Widzielibyśmy jakiegokolwiek tego oznaki – przyznaje mu rację Nemo. Oboje spoglądają na dekonstruktora, czekają na jego decyzję.

On sam nie wie co zrobić. Dotrzeć tu i nic nie znaleźć to jak wystawić się na pośmiewisko. Przecież wszystko wskazuje na to właśnie miejsce, mało tego – nic nie wskazuje, że może być inaczej. Stara się opanować złość i chęć roztrzaskania gałęzi o oporny głaz. Uparcie krąży dookoła nie dowierzając, kuca, krąży i znów pada na kolana przy kamieniu. Ostukuje go trzonkiem topora, lustruje odsłoniętą powierzchnię z góry do dołu.

Jest! Dostrzega tak upragniony, ledwo zauważalny detal. Skrobie palcami wzdłuż równoległego pęknięcia i przesuwając się razem z jego kierunkiem aż zatacza okrąg. Odwraca się z triumfem do towarzyszy. Tak musiało być, tak podpowiadała logika. To że sam przed chwilą nie wierzył, że coś znajdzie nie ma tutaj nic do rzeczy, to nie jest szczęście, tak musiało być.

– Co się tak szczerzysz? – Chmurzy się Om, chwilę później reflektuje się:

– To jest: co tak właściwie bawi, Sir?

– Przyjrzyj się Om. Na pewno sam dojrzysz. – Nemo już wie co właśnie odkrył Herbert. Wyciąga nóż i wsadza go w szczelinę, podważa lekko. Nic się nie dzieje. Przejeżdża ostrzem wzdłuż, tak jak przed chwilą zrobił to dekonstruktor palcami. Ariman zagląda mu nad głowę.

– Myślicie, że to właz? Tajne przejście? – pyta zaaferowany.

– Może być, tyle że zawiasów tutaj nie ma. Żadnej dziurki na klucz czy czegoś podobnego też nie widzę. Herbert czuje, że krok naprzód jaki dopiero co zrobił nie prowadzi go na razie do donikąd. Wie przynajmniej tyle – jest w dobrym miejscu.

– Może da się otworzyć tylko ze środka? Byłoby to rozsądne – zastanawia się Nemo Traugutt.

– No raczej! Po co miałoby się otwierać od zewnątrz? Przecież wąż sobie sam nie otworzy, prawda? Brak mu rąk – odpowiada poważnym tonem Ariman.

Herbert przygląda mu się uważnie. Parę trybików wskazuje we właściwe miejsca.

– Może rąk nie ma, ale ofiary jakimś sposobem przytrzymuje, prawda?

– No tak. – Siwy mężczyzna stara się nadążyć za dekonstruktorem.

Młodszemu tropicielowi nie trzeba więcej mówić, obejmuje głaz i zapiera się nogami, Herbert śpieszy mu z pomocą.

– Nic tylko przypiąć was łańcuchami do tego głazu – śmieje się Ariman – tylko musielibyście zacząć krzyczeć coś w stylu: „stop wycinie drzew! Nie oddamy wam puszczy”.

– No kur... No ja cię... Weź nie pierdol człowieku tylko pomóż to obrócić! – Siny z wysiłku Nemo denerwuje się już na poważnie. Żarty kolegi przelały czarę. Ariman zachowuje się jakby cała sytuacja była za ledwie zabawą. Wie że na Omie można polegać ale kosztuje to niejednokrotnie zbyt dużo nerwów.

Weteran bez słów, chichocząc wciąż, obejmuje głaz. Zapiera się i dzięki wspólnemu wysiłkowi udaje im się obrócić kamień o około dziewięćdziesiąt stopni.

W następnej chwili rozlega się dudnienie. Mężczyźni rozglądają się gorączkowo szukając jego źródła. Konie wpadają w panikę i uciekają od strony wąwozu, dzieje się tam coś niedobrego. Nemo próbuje złapać wodze jednego z pędzących wierzchowców ale jedynie ociera się o jego bok, cudem unikając stratowania. Pozostała dwójka przezornie chowa się za większą skałą. Nastaje cisza przerywana rżeniem przerażonych zwierząt; tłuką kopytami już i tak zmaltretowaną ziemię na skraju polany.

Herbert wychyla głowę, odpina strzelbę i wyjmuję z kabury na plecach. Żarty się skończyły, teraz musi pracować na najwyższych obrotach, wypełnia go adrenalina, a ból przestaje istnieć. Przez muszkę strzelby ogląda otoczenie lecz nic się już nie porusza. Nemo skrada się do towarzyszy i wskazuje kierunek, z którego przybyli dzień wcześniej.

Wąwóz jest teraz zamknięty, wygląda jakby nigdy nie było tam przejścia, miast tego widzą tylko litą skałę, bez choćby najmniejszej szczeliny. U stóp nowo powstałej ściany rozpościera się szeroka na metr dziura.

Podchodzą do niej ostrożnie oczekując nagłego ataku.

Nic. Cisza.

Zachowując szczególną ostrożność podchodzą jeszcze bliżej. Pomijając fakt swojego nagłego pojawienia się, dziura wygląda jak typowe, niczym nie wyróżniające się wejście do jaskini ale promienie wieczornego słońca oświetlają tylko początkowe kilka metrów tunelu.

Zbyt spokojnie to wygląda – niepokoi się w myślach dekonstruktor. Na pewno coś tam na nas czyha, niech mi oko wydłubią, jeśli nie. Kieruje wzrok na nową ścianę.

Ariman ręką już ostukuje skałę gdzie wcześniej uchodził wąwóz. Niewiele mogąc stwierdzić wzrusza jedynie ramionami. Podchodzą jeszcze bliżej, aż na sam skraj dziury. Wieje z niej ciepłem i zwierzęcym strachem. Odór niemalże powala mężczyzn, opar jest tak gęsty, że wręcz namacalny. Za nimi słychać rżenie Trajana, który stara się zaprowadzić porządek z resztą koni.

– Chyba czegoś takiego szukaliśmy – powiedział Herbert po czym powoli schodzi w ciemność.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Protimus, dodano 22.12.2017 09:10

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.